Tom III. Nr. 6.

21. Sierpnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KAZIMIERZ WIELKI
król chłopków.

IV. Jego śmierć i pogrzeb.

Lubił nasz Kazimierz bardzo polować. Jak tylko nie miał pilnej roboty a była pora potemu, zaraz-ci wybierał się na łowy. I tak aż do późnego wieku. Bo też trzeba wiedzieć, że wtedy ludzie nie starzeli się tak prędko jak dzisiaj. Zdrowi byli i czerstwi i niby z żelaza, takiej twardej natury. Miał-ci taki *sześćdziesiąt*, *siedmdziesiąt* lat a i więcej, a jeszcze siedział na koniu, gdyby jaki młodzik i anibyś poznał po nim, że to taki podeszły człek. Toć przecie wiadomo, że król Łokietek już miał *siedmdziesiątkę* z okładem, kiedy pobił Krzyżaków pod Płowcami. Otóż i syn jego Kazimierz, choć mu już *szósty krzyżyk* minął, wcale był zdrów i silny w sobie.

Było to jakoś przy pięknej jesieni. Król się chciał zabawić polowaniem, więc kazał sobie rychło świt osiodłać konia, zabrał służbę ze sobą i puścił się w lasy Sandomierskie, gdzie było *huk* rozmaitej zwierzyny. — Jużci wtedy nikt się nie ła-

komił na biedne zajączki ani na ptaszki, jeno na samego grubego zwierza polowano: więc na niedźwiedzie, na żubry, na tury, o jakich dzisiaj nie masz ani słychu po naszych lasach — wreszcie na wilki, jelenie i łosie. To też nielada dzieciuch mógł się odważyć na takie polowanie, zwłaszcza że jeszcze wtedy nie było ani mowy o strzelaniu kulami. Za całą broń na takiego zwierza srogiego używali myśliwi *włócznię*, niby coś takiego jak mają nasi ułani. Często i bez tego się obchodzili i po prostu z takim długim nożem, co się zwał kordelasem, wpadali na zwierza i niby chłop z chłopem tak się z nim borykali, aż go nie przemogli.

Szczęśliwie dostał się król do lasu. Wnet się zaczęło polowanie; psy królewskie wytropiły jelenia z ogromnemi rogami. Król skoro to widzi, zaraz spiął konia i kopnął się w cwał za jeleniem. Pędzi koń przez krzaki i rowy, a jeleń w nogi, aże ziemia dudni. I już miał go król dostać, aliści chciało nieszczęście, że w tej chwili potknął się koń na jakimś krzaku i powalił się z nim na ziemię. Chce się król dźwignąć — ani rusz! dopiero służba przypadła i wydobyła go z pod konia. Pokazało się, że sobie bardzo nogę zranił. Przybiegło zaraz dwóch lekarzy na pomoc: jeden radził to, drugi owo i nie mogli się pogodzić; a tymczasem noga spuchła jak kłoda. — Przywieźli go do Krakowa już bardzo słabego. Widzi król, że tu już nie ma ratunku i trzeba umierać, więc nakazał co żywo spisać testament, a potem po księdza posłał i wyspowiadał się pięknie. Na drugi czy na trzeci dzień, Bogu ducha oddał.

Ostatni to był król w Polsce, co jeszcze od onego *Piasta* kołodzieja pochodził. Jak wiecie, nie pobłogosławił go Pan Bóg żadnym synem; musiał się więc za kim innym oglądnać, coby mu zdał królestwo swoje w opiekę. Najbardziej spodobał mu się król węgierski *Ludwik*, zrodzony z jego siostry Elżbiety, więc jego *siostrzeniec*. Jeszcze przed śmiercią polecił go był narodowi polskiemu za króla. Polacy jako serdecznie kochali swego Kazimierza, tak też uszanowali jego ostatnią wolę i temu Ludwikowi w Krakowie włożyli koronę na głowę.

A potem wzięli się do królewskiego pogrzebu. Oj moi ludzie, co to był za pogrzeb! Pewno jak Kraków Krakowem, nie

było i już nie będzie takiego. A nie przez to, żeby był taki bardzo pokaźny, jeno przez on płacz srogi, jaki był wtedy między ludem, co tak bardzo wszyscy żałowali Kazimierza. A za co oni go tak żałowali? bo był właśnie jak ojciec dla wszystkich! bo cośmy wam o nim opowiadali, że był *taki walny gospodarz, taki sprawiedliwy, taki gościnny* — to jeszcze nie wszystko! Za jego to panowania bracia Rusini z Polakami się połączyli i króla polskiego swoim królem nazwali. On też ufundował *szkołę najwyższą* w Krakowie, której dotąd nie było, a jeno dla tego aby nasi chłopcy nie musieli jeździć po rozum gdzieś za morze, ale w własnym kraju wszystkiego się nauczyli, co potrzeba. — Taki to był król dbały na wszystko, coby się krajowi przydało — więc jakże go nie mieli żałować!

Ależ posłuchajcie, co o tem królewskim pogrzebie stoi po książkach napisano:

„Naprzód powiadają, szły cztery czarne wozy; woźnica i konie całe były czarnem suknem okryte. Za wozami jechało na koniach *czterdziestu* rycerzy w czerwonych płaszczach; za nimi znowu *dwónastu* rycerzy z różnych stron Polski, a każdy miał tarczę na ramieniu z takowym znakiem, po którym zaraz można było poznać, zkąd on jest. Dalej siedział na królewskim koniu rycerz bardzo bogato przybrany — miał to być niby sam król nieboszczyk. Potem już waliło się dużo ludu z wielkiemi świecami i ciało królewskie niesiono na marach. Przed marami szedł taki urzędnik co się nazywał *podskarbi*, iż zawiadywał królewskim skarbem, i rozrzucał ubogim pieniądze przez całą drogę. Wszystek ten orszak wszedł do kościoła, gdzie odprawiono nabożeństwo za króla. Potem przy jego trumnie łamano chorągwie na znak wielkiej żałoby, a wtenczas wszystko co żyło, zaczęło rzewnie płakać.“ —

Ale już najbardziej żałowali po nim chłopi! bo też to był pan dla nich serdeczny, co go aż za to po wszystkie czasy przezwali *królem chłopków*.

Śpiewka o wiślickich żniwiarzach.

Dawne czasy, dobre czasy, mój ty miły Boże!
Na tej naszej polskiej ziemi po pas rosło zboże,
I bydelko, pieścidelko, że aż spojrzeć miło,
I dobytek kwitnął wszystek, i dostatkiem było.

Bijatyki, pijatyki ani żadnej zwady
Nie uświadczył w całym kraju, nie uświadczył zdrady;
A gdy padło rzucić radło i ruszyć na wroga,
To ochotnie jak mógł każdy bieżał w imię Boga.

Król Łokietek setnie rządził bo i kropił dzielnie,
Zaś gdy w domu, każdą sprawę rozsądził rzetelnie;
Aleź-ci nań ciężkie czasy, oj ciężkie przypadły:
Czechów siła w kraj przybyła, z nimi król zajadły.

Pod Wiślicą nad pszenicą począ się żniwiarze,
Aż tu jary pielgrzym stary w polu się ukaże;
Oj nie pielgrzym ci to stary, toć nasz król w kapturze, —
Za nim w tropy czeskie chłopy, heń już tam na górze.

— Złapią króla — rzeknie żniwiarz — nie daj Panie Boże! —
Więc go wezmą nasi chłopcy w środek między zboże.
Zeszli Czesi, ogłosili: „Kto dostawi króla,
Sto kup groszy zań dostanie, ta sobie pohula.“ —

— Sto kup groszy, kęs nielada! prawi ktoś z gromady —
— Hej, świat cały mi za mały — my tam nie do zdrady!
I nie dali Czechom króla; ale gdy szedł dalej,
Stał Czech srogi pośród drogi — więc króla złapali.

Wzięli króla, w miasto wiodą, w wieżę ciemną wsadzą;
Hej! frasują się żniwiarze i coś w kupie radzą:
Uradzili — zostawili niedorznięte kłosy,
Poszli do wsi; we wsi wrzawa: ostrzą chłopcy kosy

W mieście nocą czeskie warty chodzą wedle wieży,
A we środku król okuty na słomisku leży;
W mieście nocą pijatyka, cieszą się Czechowie:
Oj nie wyjdzie wam to picie, nie wyjdzie na zdrowie.

O północku jednym razem, mój ty słodki Chryste!
Krakowiacy śmigli w górę swoje kosy czyste:
Niedługo się zabawili z panami Czechami,
Het ich z kraju napędzili z pobitemi łbami.

A od wieży drzwi wysadzą, króla wyprowadzą:
— Toć jesteśmy, królu miły, znów pod waszą władzą! —
A król szczerze ich uścisnął:
— Moi bracia rolni,
Żeście zuchy, to będziecie od wszech danin wolni!

— Bądźcie zawsze tacy dzielni, niech was Pan Bóg chowa,
I Najświętsza chroni Panna, ta polska Królowa!...

Wicenty Srokacz.

Kto z Bogiem Bóg z nim.

Będzie temu lat kilkadziesiąt, jak jeden pan z Podola pojechał był sobie z wołmi na sprzedaż do Ołomuńca. W Ołomuńcu zrobił piękny interes; duchem gdzieś mu się nawinął kupiec, co od razu wszystkie woły zakupił i dobrze zapłacił. Jeno tedy z pełnym workiem wracał pan do domu, a wracał pilno bo mu się spieszyło do żony i dzieci, które bardzo kochał. — Jechał dzień, dwa dni i już dobry kawał drogi upalił; aż trzeciego dnia już pod sam wieczór złapała go burza. Niedosyć na tem, bo jak to powiadają *nieszczęście woli zawsze chodzić w kompanii.* Takci i temu panu jeszcze na dobitek oś się złamała u bryczki. Już też dalej ani podobna było jechać, a tu leje i leje jak z cebra.

— Oj moja nieszczęsna godzina! i cóż ja teraz pocznę, gdzie się podzieję, mój Jezu ukochany! — tak wołał zakłopotany podróżny i począł się oglądać do koła, czyby gdzie nie znalazł jakiego schronienia. Kiedy tak patrzy i wygląda, naraz zdało mu się, że zajrzał jakieś światełko nieopodal. Ucieszony pobiegł w tę stronę i widzi lichą karczemkę pod lasem.

— Chwałaż panu Bogu! pomyślał sobie — dobre choć co, jak nic. I wali na wprost do karczmy; brama już była zamknięta,

więc zapukał do okienka. Po małej chwilce zobaczył rudą brodę przy oknie i usłyszał głos: — Kto tam?

Odrzeknie pan: — Podróżny! puszczaj pilno, bom przemókł do nitki.

— Ny, ny! odezwało się po żydowsku z izby i niebawem otworzyły się wrota.

Podróżny wbiegł do karczmy. Żyd rudobrody jak Judasz, skoro zobaczył że to pan, począł mu się bardzo nisko kłaniać:

— Kłaniam się do nóg, a zkąd to wielmożny pan?

— Jadę z Ołomuńca — odrzeknie podróżny i opowiedział, co mu się stał za przypadek.

— Aj waj, jakie nieszczęście! ale ja *będzie poradzić* wielmożnemu panu. Ztąd niedaleczko do wsi, to ja znam majstra co *tego bryczka zrychtuje*, a wielmożny pan u mnie przenocuje.

— Mój arendarzu! odezwie się pan — postaraj-że się o to, tylko żeby to zaraz było, bo jutro rychło świt chciałbym wyjechać.

— *Güt, szoin güt* — ja mam dla wielmożnego pana *takich osobnych pokojów*, aj waj! zachwala żyd — co sobie wielmożny pan *będzie przenocować*, jak jaki król. Sure! zawołał na żydówkę — Sure! a *kim* i pokaż wielmożnemu panu tych pokojów. Ja *tymczasów* pobiegnę za *bryczki*.

Z komory wyszła żydowica brudna, rozmamana, z bachurem na ręku, zapaliła świeczkę i przeprowadziła pana do pustej izdebki po drugiej stronie sieni. Nieucieszenie tam było w tej izdebce, brudno, duszno jak w piwnicy, liche łóżko i trochę słomy na niem i jeden połamany stołek, zresztą cztery kąty i piec piąty a i ten był nie cały. Ale cóż miał pan robić! trza było i tem się teraz kontentować. Więc kazał sobie tylko rzeczy z bryczki poznosić, parobkowi swemu nakazał żeby majstra przypilnował i zaraz przyjeżdżał, a sam już rad nie rad myślał tu przenocować.

Późno już było w nocy. Żydziska czegoś jeszcze nie śpią, jeno w komorze siedzą jedno wedle drugiego i coś po cichutku ze sobą gwarzą. A jakoś im obojgu niedobrze z oczu patrzy! Na dworze noc ciemna że wykół oczy, deszcz jak lał tak leje i srogie wichrzysko szumi po lesie. W kolebce zapłakało dziecko

żydowskie, matka poszła go uspokoić. W tej chwili żyd schylił się pod ławę, wyciągnął nóż długi, spiczasty, obejrzał go przy świetle, pokiwał głową, mruknął coś po żydowsku i nareszcie jął go ostrzyć na kamieniu przy żarnach. W tym samym czasie drzwi się uchyliły i do komory wszedł chłopak setny z siekierą w ręku, a cały był przemoknięty.

Skoczył żyd jak żmija ku niemu i zapytał: — A co, Wojtek?

Chłop cisnął siekierę na ziemię, otrząsł się z deszczu gdyby pies: — Brr! dajcie-no wódki — zawołał i zwalił się na ławę.

— Ny, a koniów? a bryczki? — pytał żyd — Wojtuniu, gadajże! — i tyrpie go za kaftan: gadaj! a oczy mu się zaświeciły jak u wilka.

— Dajecie wódki, arędarzu! krzyknie chłop niecierpliwy — już się nie turbujcie!...

Żyd duchem skoczył po wódkę i podał chłopu. — Musicie teraz wiedzieć, kto był ten Wojtek? Sługa żydowski i hultaiszcze na wielki kamień. Miał on grunt piękny po ojcach, i żonę i dzieci — otóż grunt i całe gospodarstwo zmarnował, żonę i dzieci przyprowadził na dziadów a sam poszedł sługiwać u żydów.

— *Słysz* ty Wojtek! powiada arędarz — idź-no na *palców* i nadstaw ucha przy drzwiach może już spi! to mnie *będzierz powiadać*.

Zerwał się chłop i wyszedł do sieni na podsłuchy. — Podróżny pan jeszcze nie spał, bo czegoś był niespokojny. Chodził po izbie tam i nazad, myślał o żonie i o swoich dzieciach, czy też im się przez ten czas nie stało co złego, i nareszcie począł na głos się modlić. Słucha Wojtek, coby to była za modlitwa? I słyszy jako pan odmawiał:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa jemu,
Śmiele rzecz może: mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga.

— Hej! myśli sobie sługa żydowski i podsunął się pod samę drzwi. Pan się modlił dalej:

Ciebie on z łowczych usidleń wyzuje,
I w zaraźliwem powietrzu ratuje:
W cieniu swych skrzydeł uchowa cię wiecznie,
Pod jego pióry uleżysz bezpiecznie.

Stateczność jego, tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Ztąd drugi tysiąc ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny — a ty przecie swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi.

Słysząc to Wojtek, aże go mrowie przeszło i sam nie wiedział, kiedy ukląkł i ręce złożył jakby do modlitwy. Słucha dalej:

Iżeś rzekł Panu tyś nadzieja moja,
Iż Bóg najwyższy jest ucieczka twoja;
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się stanie w domu twoim szkoda.

Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz: którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś idąc drogą
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Słuchaj, co mówi Pan: „iż mię miłuje,
A przeciwko mnie szczerze postępuje,
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapamiętam, i owszem wspomogę.

Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie; odemnie obrony
Niech pewien będzie, pewien i zacności,
I lat sędziwych i mej życzliwości.

Potem już się stało cicho na izbie. Wojtek jeszcze wciąż klęczał; przypomniał sobie dawne lata, kiedy był jeszcze dzieckiem: jak go matuś uczyła tej samej modlitwy i mówiła, że kto ją codzień odmawiać będzie, jako życie nic mu się złego nie zdarzy, choćby się wszyscy djabli na niego sprzysięgli. I objął go wielki strach; wnet się zerwał na równe nogi i cichaczem wrócił do żydów.

— Nic z tego nie będzie! zawołał, wchodząc do komory żydowskiej.

— Ny, co ty gadasz, Wojtek! krzyknie arędarz.

— Nic z tego nie będzie! powtórzył chłop i machnął ręką. — Nic mu teraz nie zrobimy, żydzie! choćbyś się na głowę postawił i ty i ja.

— Sure, *herste!* czy on owarjował? wykrzyknie żyd i wypatrzył się strasznem okiem na Wojtka.

Żydowica porwała za flaszkę wódki: — Na, Wojtek! powiada i po twarzy go głaszcze — na, mój lubuniu! pozwól sobie ile sam zechcesz, ale powiedz nam, za co jemu nic nie będzie?

Chłop wódki nie odmówił, łyknął raz i drugi raz i tak rzeknie:

— Widzicie, jakeście mnie posłali na podsłuchy, ha no, to ja też poszedł i słucham. Aż tu słyszę, pan chodzi po izbie i modli się.

— Ny, niech-by się modlił! przerwał żyd — co nam to szkodzi?

— Ba! prawi Wojtek — właśnie że szkodzi, bo już mu teraz nikt nie poradzi po tej modlitwie. Oho, już przepadło! to jest taka cudowna modlitwa.

— Aj waj! zalamentował żyd — *glupi* Wojtek, to *wôn* już na prawdę owarjował. A szkoda takich *pieniądzów;* coby to *buł* za pan z tego Wojtka! aj, aj!

Chłop zwiesił głowę na piersi i siedział cicho. Żyd jął go na nowo kusić:

— Co to modlitwa! zobaczysz Wojtek, że to nic. Ty mu jeno ręki *pochwytujesz*, a ja tylo co raz pojadę nożem po pod *szyjów*, i będzie koniec. A za to będziesz sobie pan Wojtek, bo ja się z tobą podzielę temi *pieniądzów*, co *wôn* dostał w Ołomuńcu za wołów.

— Gadaj sobie zdrów, gadaj! odezwie się chłop — jeno że ja o tem nic nie chcę słyszeć, powiedziałem ci raz.

Żyd na razie chciał się gniewać, bo cały poczerwieniał i zapienił się jak wściekły. Ale że to był szelma bity na wszystkie boki, boć się wnet pomiarkował i zaczął z innej beczki:

— Ny, powiada, może ty masz i *recht*, kto go wie! at, bierz go djabli z jego pieniądzów. Idź spać, Wojtek. — I wypchnął chłopa za drzwi a sam się z żydówką zamknął w komorze, i coś jeszcze długo szwargotali ze sobą po żydowsku.

Już gdzieś dobrze było po północy. Burza ustała i zrobiło się cicho na dworze. Podróżny pan położył się taki nierozebrany na łóżku; ale naprózno przewracał się z jednego boku na drugi — ani daj Boże było zasnąć! Naraz słyszy, aż tu w karczmie okrutny krzyk powstał:

— Gwałtu, gwałtu! na pomoc, moi ludzie! żyd mnie morduje! —

A toć się zerwał na równe nogi i do okna. Aleć okno, zwyczajnie jak w takiej karczemce, nieduże: ani myśleć aby się tamtędy wydostał. Na szczęście swoje w tej samej chwili zasłyszał na drodze fury jadące. Więc począł krzyczeć co sił: — Hej, hej, ratunku!

Na to wołanie poskoczyli co tchu furmani ku karczmie i poczęli się do bramy dobijać. Podróżny tymczasem zaświecił świeczkę i wypadł do sieni. W tej chwili wyparli chłopi wrota, a było ich kilku z tęgiemi kosturami. Podróżny woła ich za sobą, a sam idzie ze świeczką naprzód. Ledwie zrobił kilka kroków, widzi żydowicę przykucniętą w jednym kącie i dygocącą od strachu; a w drugim kącie stał żyd rudobrody, jakby go kto zaczarował, z zakrwiawionym nożem w ręku; zaś wedle na słomie leżał żydowski sługa cały we krwi i już ledwo dy-

chał. Na ten widok podróżnemu aż włosy stanęły na głowie i chłopom zrobiło się ckliwo na sercu. Nic nie pytając, rzucili się na żyda i żydowicę, i powiązali oboje jak baranów. Zaś podróżny jął opatrywać rannego Wojtka.

Słabym głosem odezwał się sługa żydowski: — Próżna wasza fatyga, mój panie! już ze mnie nic nie będzie — ot lepiej posłalibyście po księdza, żebym się wyspowiadał.

Jeden z chłopów zaraz skoczył do wozu, wyprzągł konia i pognał do wsi po księdza. A przez ten czas podróżny pan dowiedział się od Wojtka o wszystkiem, jak się cała rzecz miała: że z namowy żyda, chłopca pańskiego zamiast poprowadzić z bryczką do miasta, Wojtek zamordował w lesie; że to samo czekało i pana, ale słysząc go odmawiającego oną cudowną modlitwę: *„Kto się w opiekę poda panu swemu“* Wojtek nie chciał do tego należeć i za to mu żyd gardło poderznął, bo się bał aby go nie zdradził.

Słysząc to podróżny, upadł na kolana i podziękował Panu Bogu za jego cudowną opiekę. Niebawem też nadjechał ksiądz ze wsi z Panem Bogiem. Na drugiej furze przyjechali wójt i kilku starszych z gromady. Wojtek tylko jakby na księdza czekał, bo ledwo się wyspowiadał, zaraz skonał. — Żyda i żydowicę wpakowali na furę i odwieźli do sądu. Jego powiesili, a oną na dwadzieścia lat skazali do kryminału.

Tak się skończyła cała historja. — Podróżny szczęśliwie wrócił do domu i do samej śmierci przykazywał dzieciom swoim: *Kto z Bogiem, Bóg z nim.* — Pamiętajcie to sobie póki życia!

Ludka z Myślenic.

Zielsko.

Około świętego Michała wziąwszy Wojciechowa sierp, poszła na ogród i wyrzynała zielsko. Jagna wracając z pola, tak się do niej odezwała:

— Już też moja kumoszko, musicie nie mieć wcale co do roboty, kiedy teraz jeszcze wyrzynacie to zielsko. Na co wam się to przyda? Niechno przyjdzie zima to ona już zgnije.

Wojciechowa jej na to: — Bodajście nie bajali, moja piękna! toć widzicie, że gdybym go nie powyrzynała, toby mi się dostało; bo choćby w zimie łodygi pogniły, siemie-by nie zgniło, tylko-by się posiało, a potem miałabym jeszcze więcej do plewienia na przyszłość. Powyrzynam je sobie, powrzucam w gnojówkę, a tak będę miała więcej mierzwy, a mniej zielska. Prawda, że wiatr nawieje z waszych ogrodów dosyć siemienia od zielska, ale i to dobre, co się wyniszczy. Gdybyście tak mieli rozum, tobyście i wy i drugie kobiety nie zostawiały zielska po ogrodach, zapłotkach i rowach, tylkobyście je wyrzynały, a coraz by go mniej było.

— No, prawdę mówicie — rzekła Jagna — a toć ja zaraz moim dziewczętom każę po ogrodzie zielsko powyrzynać. Może też i drugie sąsiadki to samo zrobią, jak się dowiedzą, na co to dobre; boć czego człowiek nie wie, tego nie robi, moja kumoszko!

(*Szkółka.*)

Rady lekarskie.

Maść na odleżenie się w chorobie. — Kiedy się kto w chorobie odleży, niech sobie taką maść sporządzi: Naprzód bierze się dwie albo trzy rzepy i drobniutko się je posieka. Potem bierze się kawałek płótna czystego, na nie wsypuje się oną siekankę ze rzepy, i dopiero z tego wyciska się sok przez płótno do jakiej ryneczki albo garnuszka. W innej zaś ryneczce rozpuszcza się masło na wolnym ogniu. Masła tego ma być niewielka łyżka i żeby było świeże i nic a nic nie solone. Jakże się to masło w ryneczce roztopi, wtedy wlewa się do niego sok ze rzepy i dopiero się mięsza tak długo, aż się z tego zrobi maść łatwa do smarowania. Natenczas już nie wypada, jeno smarować ją na płótno i przykładać na ranę co

od leżenia pochodzi. Uważać przytem należy, żeby zawsze świeże było smarowanie. — Rana się niebawem zagoi, i będziesz przy Boskiej pomocy zdrów.

Na kaszel suchy niezawodne lekarstwo. — Przykra to rzecz ten kaszel, kiedy się raz człeka uczepi. Ni ztąd ni z owąd jak zacznie tobą szarpać, toć nieraz zda ci się, żeć kości połamie i wszystkie wnętrzności z ciebie powyrzuca. Do tego taka to bieda uparta, zwłaszcza *kaszel suchy*, żeć się nie da zbyć lada czem, jeno trzeba koniecznie radzić sobie i lekarstwa na niego zażywać. — Powiadają, że w takim kaszlu źle jest jadać mięso; aleć i bez tego, choć zdrowi, nie wiele go zjadacie i dobrze robicie. Niedobre też piwo na kaszel, zwłaszcza kiedy jest mocne; a wódka to już wcale zła, przeto się jej trzeba wystrzegać jak ognia. — Za najlepsze lekarstwo na taki kaszel suchy używają *trybulkę.* Zażywa się ją w taki sposób: parę garści trybuli gotuje się w serwatce, potem się przecedza i pije, i to ma bardzo pomagać. — Także polewka z trybuli dobra jest; a tak się robi: zabij starą kurę, obskub ją z pierza pięknie, ale nie parząc gorącą wodą, tak jak to zazwyczaj czynią. Skoro ją już przyrządzisz jak należy, nadziej gardziel i brzuch drobno posiekaną trybulką i krupami owsianemi. Do tego dodaj odrobinę szafranu; potem już zaszyj kurę tak nadzianą, włóż do garnka garncowego nie soląc zgoła nic. Garnek nie może być inakszy, tylko gliniany. Wtedy do garnka nalej wody wrzącej po same brzegi, dobierz nakrywki coby w sam raz do niego pasowała, oklej tę nakrywkę z boków ciastem i papierem, i tak niech sobie będzie aż się nie ostudzi. Dopiero potem rzucisz nakrywkę, przecedzisz ten rosół z kury przez płótno i będziesz go pić na zimno co kilka godzin po malutkim garnuszku. — Powiadają, że taka polewka dobra jest też na wysychanie ciała i suchoty.

Na oparzenie. — W takowym razie nic lepszego, jak zaraz wziąść i kozikiem naskrobać ziemniaka surowego, i te skrobiny na oparzone ciało przykładać. Dobre też na to jest

mleko kwaśne, albo i zwyczajna glina wymięszana z octem na gęsto. Jeno potrzeba uważać, żeby te okładziny zawsze zimne były; więc jak skoro się zagrzeją, zaraz odejmować i świeże przykładać. Kiedy już wielki ból ustanie, smarować należy oparzone ciało olejem, lub też białkiem od jajka wymięszanem ze śmietanką.

Jeżeli oparzenie jest bardzo niebezpieczne, wtedy to inna rzecz i już nie można radzić samemu sobie, ale trzeba koniecznie posłać po lekarza.

RÓŻNOŚCI.

Szkółka powszednia. Ktoby chciał odżałować *jednego reńszczaka* i rad był się czegoś nauczyć, temu naraimy książkę, co ją można dostać we Lwowie a nazywa się *„Szkółka powszednia.“* Żebyście zaś, jak to mówią, nie kupowali *kota w worku*, to wam po krótce rozpowiemy, co w tej książce jest napisano i czego ona chce nauczyć ludzi. Owóż najprzód jest tam modlitwa do Pana Boga. I dobrze zrobił ten pan pisarz, żeć to swoje pisanie zaczął od Boga; bo też za nic wszelka praca i mądrość ludzka, jeślić tam nie ma błogosławieństwa Boskiego. Dopieroż po modlitwie jął się do nauczenia. Pierwsza nauka mówi o *miernictwie.* A wiecie co to jest to miernictwo? oto taka nauka, co nam pokazuje, jak mamy zmierzać co bądź: czy to pole jakie, czy łąkę, las albo jaki budynek na długość, wysokość i szerokość. — Druga nauka mówi o *ziemi* i o *niebie*: jakci ta ziemia wygląda, jak się raz wraz kręci od wschodu na zachód, chociaż się ludziom wydaje że ona cicho stoi a słońce się obraca, a to właśnie nieprawda; jakie gwiazdy i jakie planety widać na niebie; zkąd pochodzi że mamy raz wiosnę, potem lato, po lecie jesień i nareszcie zimę; — o tem wszystkiem powiada ta druga nauka. — Trzecia nauka mówi o tem, *co się znajduje w ziemi;* a to jest: kamień, wapno, węgiel, gips, sól, żelazo, ołów, srebro, złoto i dużo innych rzeczy. — Czwarta nauka znowu wskazuje nam, *jakie mamy rośliny w naszym kraju:* więc jakie drzewa rosną po naszych lasach a jakie znowu po naszych ogrodach; jak się wedle sadu chodzić powinno, aby z niego był pożytek; jakie mamy zboża na polach, jakie trawy i kwiaty na łąkach, jakie zioła po górach i po dolinach przydatne są na rozmaite słabości. — Nareszcie piąta nauka w tej książce powiada nam o *zwierzętach krajowych:* więc jakie zwierzęta po lasach się kryją, a które są oswojone z człowiekiem;

jakie ptaki rozmaite latają po powietrzu; co za płazy i co za gady łażą po ziemi i które są niebezpieczne dla człowieka; jakie ryby znajdują się w naszych rzekach i stawach i jakie owady nam dokuczają tak w domu jak na polu. — I na tem już koniec tej książki. Jużcić może nie wszystko od razu byście zrozumieli, co tam jest napisano; wtedy nie wielka rzecz pójść do księdza dobrodzieja, albo i do nauczyciela w szkółce, jeżeli ją macie, i poradzić się o tem lub owem, cobyście swoim rozumem pojąć nie mogli.

Szarańcza. Patrzajcie! tegoż nam jeszcze potrzeba na dobitek całego nieszczęścia, cośmy go w tym roku tyle zaznali. Jużci nas i szarańcza poczyna nachodzić! Powiadają, że właśnie temi dniami koło *Zaleszczyk* i *Zabłotowa* w obwodzie Czortkowskim moc tego szelmostwa naleciało i tam na polach całą chmurą osiadło. Dość niewiele chleba nam obiecują na ten rok, bo i ziemniaki, jak ze wszystkich stron słychać, na nic się psują, a tu nam jeszcze wypadło żywić takich nieproszonych gości — bodajże ich!..

Pioruny. Co też te pioruny nie dokazują tego lata, to aż strach! Co chwila gdzieś go licho nadniesie na ludzką biedę, i nie wiem czybyś dużo narachował takich dni w tym roku, żeby gdzie piorun nie strzelił i jakiej szkody nie wyrządził. Ot, pono jeszcze i miesiąca nie ma, jak w *Otyniowicach* w obwodzie Brzeżańskim, jedną kobietę zabił, a dwie jeno ogłuszył. — W tym samym czasie była wielka burza w *Łopusznie.* Jeden gospodarz tamtejszy wybiegł za końmi na pastwisko i także go piorun na śmierć poraził. — A znowu w *Boryszkowcach* zapalił jedną chałupę i dwoje ludzi tak mocno ogłuszył, że nie wiedzieć czy się ich docucili. — W *Beniowej* także od pioruna zgorzała chałupa i wszystkie budynki gospodarskie jednego włościanina. — Takci samo stało się w *Dusanowie* i w *Kropiwniku*, gdzie bardzo dużo szkody poczynił piorun. — Nakoniec w *Glinianach* zabił kobietę w samo południe, kiedy niosła objad swojemu synowi na pole. —

Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. — Pewien młynarz miał osła, którego tak pracą zmęczył, że już na nim tylko skóra i kość była. Widzi młynarz że źle, bo mu osieł lada dzień może zdechnąć, postanowił tedy sprzedać go za co bądź. Przywołał syna wyrostka i rzecze:

— Słuchaj ty, żeby się nasz osieł w drodze do miasta nie zmordował, zanieśmy go na drągach.

Dźwigają obaj; ale im dalej szli, tem bardziej im osieł ciężył. Gdy to postrzegli ludzie, zbiegać się zaczęli i dalej śmiać się z nich i szydzić:

— Patrzajcie jeno, oto trzy osły, a ten co na drągu, jeszcze najmniejszy!

Młynarz markotny, skoczył po rozum do głowy, i wsadził syna na osła. Aż tu pierwsi, których napotkali, nuż gniewać się na syna, mówiąc: — Ty hultaju! jedziesz sobie wygodnie na ośle, a biedna starowina pieszo? — I już się chycili do kijów, aby mu syna wybić. Młynarz

widzi że nie żarty, zsadził chłopaka z osła, a sam wsiadł na niego.

Przechodziły dziewczęta — i mówi jedna do drugiej: — Biedny chłopczyna! pieszo iść musi, a dziadzisko nielitościwe jedzie sobie wygodnie.

Usłyszawszy to, wsadza syna za siebie, myśląc, że już teraz dogodził wszystkim. Aliście zaledwo z lasu wyjechał, znowu krzyk: — Co to za głupcy, a któż od nich osła kupi? niedosyć że biedne oślisko ciężką odbywa podróż, jeszcze mu dźwigać każą dwóch takich drabów. Chyba skórę z niego sprzedadzą!

— Prawda, pomyślał sobie młynarz; więc zsiadają obaj.

Aż tu znowu odzywają się inni: — któż to widział, aby osieł szedł sobie wygodnie, a ty pieszo! wybacz człeku, ale wszyscy z ciebie śmiać się będą, jeżeli się nie poprawisz.

— Już tedy cierpliwości nie stało młynarzowi: — Nie poprawię! krzyknął obruszony do żywego — dość już tych przymówek; djabli by wam wszystkim dogodzili! robię tak, źle — robię inaczej, źle — robię jeszcze inaczej, także źle — a niech was nie znam! Odtąd już nie pytam nic, jeno zrobię to, co mi mój rozum i sumienie podyktują. — Jak mówił, tak zrobił i pono dobrze na tem wyszedł. —

Strach ma wielkie oczy. — Już wam nigdy tak późno czekać nie będę — rzekł zadyszały Bartek do tatusia, powróciwszy z żelazami od kowala. A dyć to człowiek w onym lesie za górą strasznym wilczyskom ledwo się opędził.

Ojciec jego Stanisław wiedząc, że w owym lesie wilków nie było, chciał synowi pokazać, iż niepotrzebnie się bał i tak rzeknie do niego:

Stach. Prosie czyje zabłąkało się, a tyś myślał że wilk.

Bartek. Przecieżbym się prosięcia nie bał, chociażby było jak chałupa wielkie i jak djabeł czarne i rogate. Alboż się to ich mało napasałem, jakem był chłopakiem!

Stach. Może zając który ciebie się zląkł i uciekał, a tobie się zdawało że wilk?

Bartek. Zająca miałbym się bać? alboż go to nie znam z dużemi uszami i z długiemi nogami.

Stach. Toć pewne żaby skakając, strachu cię nabawiły?

Bartek. Miałbym się koślawych żab zląc? przecież byłem w bótach i w kożuchu, i alboż to ich mało w dołku naszym i w kapuście z Walkiem nazabijałem?

Stach. Zapewne krówki na pogodę latając, tak cię straszyły, boć wilka to tam nie było i niema.

Bartek. Te robaki miałyby mnie przestraszyć? i wy też! przecie szedłem z siekierą, tobym był którą rozciął.

Wreszcie Bartek widząc, że ojciec koniecznie mu chce pokazać, iż nie potrzebnie się bał, rzekł w gniewie: — Niech było co chciało, dosyć że w liściku tam się coś chrabęściało.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**